



© Marian Stefanowski

Magdalena Parys – Poland

Magik (2014)

Magician

Publishing House Świat Książki

Biography

Magdalena Parys (born 1971) is a poet, writer and translator. She is the founder of the Polish-German literary magazine *Squaws*, and a graduate of Polish philology and pedagogy at Humboldt University in Berlin.

Synopsis

The starting point of the story is a press release: 'In 2010, the Federal Commissioner for the Stasi Records (the German government agency) cleared almost six kilometres of files (20 million pages). It is estimated that in the time of the Iron Curtain about 4,500 people from the Eastern Bloc tried to escape to the West across the Bulgarian borders. About 100 of them lost their lives.' This information provides the inspiration for a multilayered story about people trying to unravel the circumstances of mysterious deaths in the 1980s.

Although the story is set in 2011, its roots go back to the 1950s. That's when an operation called *Magik* began: a brutal operation where GDR Stasi cooperated with Bulgarian border guards to murder refugees from the socialist countries who, in the days of the Iron Curtain, tried to illegally cross the Bulgarian-Turkish or Bulgarian-Greek borders. Although the pretext was to prohibit illegal border crossings, this led to the elimination of opposition activists. In the book, GDR history intertwines with the outbreak of the Solidarity movement, contemporary Berlin, human stories of guilt, punishment and escape from responsibility, as well as a complicated investigation by a disobedient police officer, Kowalski. Though removed from the investigation, he does not give up – and will discover the dark past of some influential politicians in the reunited Germany...

Magik

Magdalena Parys

Odkąd dzieci wyjechały na studia za granicę, jego żona była jakby spokojniejsza, od kilku miesięcy miał nową, młodą kochankę, Felicię. Były to od dawna wyczekiwane zmiany, nie one jednak były najistotniejsze. Najważniejszym wydarzeniem minionego roku był fakt, że w lutym w Urzędzie do spraw Materiałów Stasi poddano kasacji ponad 5,8 kilometrów akt, około dwudziestu milionów stron A4. Zniknęły.

Jeszcze raz ułożył to zdanie w myślach: 5,8 km, prawie 6 km akt zniknęło z Urzędu do spraw Materiałów Stasi. Największy sukces jego życia, najmądrzejsze, szachowe posunięcie, szach mat, akt nie ma. Gdyby za takie życiowe role dawali Oskary, zgarnąłby wszystkie, za produkcję, scenariusz, reżyserię i główną rolę. Christian zaplanował to posunięcie nadzwyczaj skrupulatnie i rozłożył w czasie na pięć lat, nie włączając w nie nikogo z zewnątrz. Całą tę akcję przeprowadził dla niego Frank Derbach, zaufany przyjaciel. Wyświadczał w ten sposób przysługę partyjnemu koledze, pomysłodawcy i sponsorowi tej bezprecedensowej operacji – nie było komu.

Jemu.

Pomijając miesiące po upadku muru, kiedy agenci bezpieki próbowali zniszczyć część archiwum, był to pierwszy przypadek likwidacji akt na tak wielką skalę. Podczas gdy pierwsza próba udaremniona została dzięki zaangażowaniu wzburzonych obywateli dawnej NRD, druga, dwadzieścia lat później, odbyła się przy nader nikłym zainteresowaniu kogokolwiek – 5,8 km akt uznano oficjalnie za nieprzydatne i niepotrzebnie

absorbujące czas urzędników. Akta zniknęły. Wersję ich nieprzydatności udało się bez większych problemów sprzedać nielicznym mediom zainteresowanym sprawą. Christian wiedział oczywiście, że wszystkiego nie da się ukryć. W tak zwanych demokracjach na ukrywaniu nie wychodziło się najlepiej. Powodzenie zależało od tego, czy da się to ładnie opakować. Przewidział, że najwięcej do powiedzenia będą mieli dyrektorzy muzeów z Lipska i Berlina, kilku opozycjonistów z byłej NRD, w tym szczególnie jeden, niezmiennie od lat denerwujący Christiana, oraz paru dziennikarzy, zbyt młodych, żeby rozumieć, o co tak naprawdę w tym kraju chodzi. Niepokoiły go trochę skrzeczące głosy z FDP, liczące w wyborach na cud i łapiące każdą okazję, także byle jaką, żeby zaistnieć, przypomnieć o sobie, ale na szczęście do poważniejszej debaty nie doszło. Zachodnia opinia publiczna miała ku temu swoje powody. Po prostu rozliczenia ze schedą po Stasi nie wchodziły w zakres ich zainteresowań.

Uśmiechnął się na wspomnienie tego sukcesu. Christian Schlangenberger, były oficer kontrwywiadu, „dobroczyńca”, jak zwykł o nim mówić Frank Derbach (i nie było w tym cynizmu), zyskiwał dzięki tej, trzeba Frankowi przyznać, perfekcyjnie przeprowadzonej akcji, świetlaną przeszłość, a przy okazji wdzięczność wielu wpływowych ludzi, o których, tak jak i o nim, sporo można było się z tych akt dowiedzieć.

Za swoje wieloletnie poświęcenie i odwagę (odkładanie akt na bok było żmudne, męczące, nie mówiąc o ryzyku, i trwało pięć lat) Frank Derbach doczekał się nie tylko bezgranicznego zaufania swojego dobroczyńcy, ale także niemałych pieniędzy. Natomiast sam Christian święcił największy triumf swojego życia i zbił na tym fortunę. Akta przekazał bowiem bogatym i wpływowym ludziom. Czy też, jak woleli to nazywać zainteresowani: zwrócił należne im informacje.

Wśród obdarowanych byli prokuratorzy, urzędnicy, niektórzy politycy opozycji i partii rządzącej, sędziowie i biznesmeni. Co ważniejsze, hermetyczne ponadpartyjne i niezwykle wpływowe środowisko – w biedzie nagle wszyscy stają się sobie równi i podziały znikają – dowiadywało się, że Schlangenberger wciąż żyje i stać go na wiele, a to ostatnie było bezcenne. Siało strach, choć nikt z zainteresowanych tak by tego nie nazwał, a już na pewno nie wypowiedziałby tego głośno. Taka niewiedza, ciągła niepewność i zagrożenie idą w parze ze strachem i wdzięcznością – lepszego Anioła Stróża nie mógł sobie Christian wymarzyć. Nikt z obdarowanych nie wiedział, jakie informacje ich dobroczyńca jeszcze posiada ani SKĄD JE BIERZE i wreszcie co zamierza przedsięwziąć; czy rzeczywiście pozbył się akt, czy oddając je im, zainteresowanym, jak się zarzekał (zazwyczaj w bardzo poufnej rozmowie z każdym z nich z osobna), kładzie kres sprawie, zniszczył bowiem akta, wszystkie zniszczył! W myśl zasady, po co komu taki problem, panie prokuratorze, panie sędzio, panie pośle, panie ministrze, panie prezesie?

Co robić, trzeba sobie ufać, uznało szacowne grono o wpływach stąd do Australii, poza tym Schlangenberger zawsze był taki miły i ułożony. Schlangenberger to rozsądny człowiek przecież, tęga głowa i dżentelmen – szeptano między sobą w zaufanych kręgach, dodając przy tym, że także poważny kandydat na najwyższe stanowiska w kraju. „Dobroczyńca” Christian podkreślał zaś podczas tych poufnych rozmów, że w tej delikatnej sprawie (słowa „akta” nikt z zainteresowanych nie wymawiał) chodzi o dobro ogółu i trzeba się wspierać, zatem wspierali się po cichu wzajemnie. W szczególności zaś wspierali Christiana Schlangenbergera.

Wszystko chodziło więc jak w zegarku, uznał Christian, dlatego duplikaty akt, czasem oryginały, które trzymał w

sejfach bankowych, były u niego na razie „bezpieczne” i nie miał zamiaru z tego arsenału korzystać. Przynajmniej jeszcze nie dziś i nie teraz, był przecież pierwszym w państwie futurologiem. Jak mawiał jego wieszcz i najważniejszy protektor, wielki Kröger: deser, drodzy towarzysze, zostawmy sobie na przyszłość.

Jednakże droga do celu była żmudna, wybrukowana wyrzeczeniami i wymagała cierpliwości. Cierpliwość – niekoniecznie najmocniejsza cecha charakteru Christiana. Niechętnie wspominał czas zmierzchu. Po upadku muru musiał zniknąć na dłuższy czas z areny, usunąć się w cień i poświęcić głównie interesom.

Tymczasem ten znieawidzony czas pracował na jego korzyść. Nikt, nawet on, nie spodziewał się, że zmiany nadejdą tak szybko i będą aż tak radykalne. Po raz kolejny przekonywał się, że pamięć ludzka jest wybiórcza. Ze zdumieniem obserwował sukcesy swoich byłych kolegów i czasem aż nie dowierzał, gdy patrzył, jak licznych zyskiwali sobie wyborców w zjednoczonych Niemczech, dyskontując swoją enerdowską przeszłość. W instytucjach publicznych i w lokalnych parlamentach Niemiec wschodnich aż roilo się od byłych konfidentów. W bliskiej jego sercu Brandenburgii na dwudziestu sześciu posłów partii lewicy do landtagu co czwarty pracował kiedyś dla Stasi.

*

Pierwsze polityczne przemówienie Christiana przeszło do historii.

Wybrał najlepszą strategię z możliwych, bo on zawsze wybiegał na spotkanie epokom, zdarzeniom. Jego początkowa taktyka, dokładnie przemyślana, była śmiesznie prosta i jak

słusznie wyrokował, nad wyraz skuteczna. W rzeczy samej Christian Schlangenberger przerósł samego siebie.

– Genialne! – zachwycił się szwagier Ernesto.

– Niebywałe, szefie, niebywałe! – Irma i Frank Derbach, jego pierwszy sztab wyborczy, triumfowali.

Walenie pięścią w mównicę i słodki ojcowski głos przystojnego, wysportowanego pana po sześćdziesiątce miały przypomnieć zapomnianym kobietom z NRD w nowej RFN kim są, kim były i kim mogą się stać. I on, TAK – ON, im w tym pomoże! To był historyczny moment dla jego nowej partii, a raczej partii, do której ponownie wstąpił. Partii składającej się w czterdziestu procentach z kobiet – i to na nich zamierzał zbudować swój elektorat. I zbudował.

– To komunizm, ustrój tak zbrukany dzisiaj, moje drogie towarzyszki i towarzysze, dał asumpt do rozwoju feminizmu, dopuścił kobiety do ciężkiego przemysłu i za kierownice traktorów. To on wysłał Tierieszkową w kosmos, usankcjonował masowe wyjście kobiet z domu, do pracy. To ON, tak on! – grzmiał Christian z mównicy, zostawiając w mózgach słuchającej go nie tylko żeńskiej lewicy, ale wszystkich słuchających głęboki ślad.

– I to ON budował setki żłobków i przedszkoli, głosił hasła równości płci, ale czy były to tylko hasła, moje drogie towarzyszki, czy tylko hasła? ! – Tu przerwał i z uśmiechem skłonił się damom, które mógł dojrzeć ze sceny, a także tym wszystkim paniom, których nie widział i którym piękna męska młodzież, biegając po sali, rozdawała róże. Nie goździki, lecz róże, aby nie budzić niepotrzebnych resentymentów i dać poczucie, że idzie KU NOWEMU. Lepszemu.

Gromkie brawa wstrząsnęły salą kongresową w Berlinie Wschodnim jak za dobrych starych czasów – klaskały młode dziewczyny z zachodu i ze wschodu, klaskały nawet kelnerki i szatniarki, panie z pierwszych rzędów powstawały z krzesel...

– Kim jesteśmy my, drodzy towarzysze i towarzyszki, kim? – kontynuował Christian Schlangenberger, nowy mesjasz nowej Ligi Kobiet. – Skąd pochodzimy? Z byłej NRD! Taka jest prawda. Nie wstydzmy się tej prawdy! Tu wyrosliśmy, tu!!!

Przemawiał jeszcze dziesięć minut, budząc takie emocje, że musieli go ratować rośli chłopcy z SECURITAS CITY, prawie wynosząc z sali.

Schlangenberger zyskał tytuł największego w historii Niemiec feministy i reformatora, wiele tytułów nabierał przez lata, wiele, mógł więc być przez moment feministą.

To był dobry początek, taki początek to rzecz niemal święta i takich początków się nie zaprzepaszcza. Feminista Schlangenberger odegrał swoją pierwszą wielką rolę w demokracji z pasją i przekonaniem, choć ani jednego, ani drugiego za grosz wobec kobiet nie miał, a przynajmniej nie w tym nasileniu, jakiego życzyłaby sobie liga.

Christian Schlangenberger odegrał wielki show, demonstrując feministyczny fanatyzm. Przekonać i porwać za sobą narody może z pewnością ktoś wielki i autentyczny we wszystkim, co robi, ktoś bezprzykładnie oddany sprawie. Ale tylko geniusz, będąc pozbawiony tych cech, może odegrać tak przekonujące kłamstwo. Oto i on, największy oszust w historii świata kobiet, Schlangenberger Christian, oszust nad oszustami. Kłamca z dyplomem psychologa z moskiewskiej szkoły.

Z czasem, zyskując coraz wyższą pozycję, a o kobietach mówiąc wciąż z atencją i uznaniem, choć już zdecydowanie

rzadziej, bo od święta, piął się coraz wyżej, ale wciąż nie tak wysoko, jak by chciał. Christian chciał więcej, wyżej, dalej.

Doskonale wyczuwał nastroje i trendy, niewiele się zmieniło przez te wszystkie lata. Może i na traktorach jeździły kobiety przez czas jakiś, reperowały samochody, harowały w fabryce, ale zarówno wtedy, jak i dziś, w partii, każdy swoje wiedział i co do tego panowała krystaliczna jasność: choć politycznie każdy był poprawny, to w wyższych kręgach uznawano, że ta prawdziwa polityka to rzecz męska i jeszcze raz męska. Kobiety stanowią dobry filar, dobre tło, można nawet na nich coś ugrać, ale nie oszukujmy się, panowie, poza paroma wyjątkami, jak kanclerz Merkel, kobieta – to tylko kobieta. Polityka to nie jest sprawa dla kobiet, ale o tym to już tylko przy piwie, przy wódce lub przy pokerze u Herza – nigdy oficjalnie w gabinetach. W gabinetach obowiązywało ściskanie dłoni politykierkom. Polityczkom? Paniom politykom?

– Pies je trącał! – śmiał się Christian; unosił litrowy kufel piwa i mrugał do kumpli.

– Pies je trącał! – przytakiwali karciani towarzysze.

Magician

Magdalena Parys

Translated from the Polish by Antonia Lloyd-Jones

Ever since the children had gone to college abroad, Christian Schlangenberger's wife seemed calmer, and for a few months he'd had a new, young mistress called Felicia. These were long-awaited changes, but they weren't the most essential. The most significant event of the past year was that, in February, more than 5.8 kilometres of files at the Stasi Records Office, some 20 million pages of A4, had been annulled. They'd disappeared.

He ran through that sentence in his mind once again: 5.8, nearly 6 kilometres of files had disappeared from the Stasi Records Office. The biggest success of his life, the wisest move he'd ever made, like a chess move, checkmate, files gone. If they'd awarded Oscars for that sort of real-life role, he'd have swept the board, for production, screenplay, direction and lead performance. He had planned this move extremely carefully, spreading it over a five-year period, and without involving anyone from outside. The entire operation had been run for him by Frank Derbach, a close and trusted friend, who felt he was doing a favour for a party colleague, the originator and sponsor of this unprecedented operation. He wouldn't have done it for just anyone.

Just for him.

Apart from the months following the fall of the wall, when the security service agents had tried to destroy part of the archive, this was the first incidence of files being eliminated on

such a major scale. While the first attempt had been frustrated, thanks to the involvement of outraged citizens of the former GDR, the second, 20 years later, had taken place without much more than a flicker of interest from anyone at all – 5.8 kilometres of files were officially deemed to be dispensable, needlessly occupying clerical time. So the files vanished. Schlangenberger hadn't had much trouble selling the idea that they were dispensable to the few representatives of the media who were interested in the matter. Of course he knew that not everything could be hidden. In so-called democracies, hiding things never produced the best result. Success depended on whether it could be packaged nicely. He had foreseen that those with the most to say would include the heads of the museums in Leipzig and Berlin, a few members of the opposition from the former GDR, especially one who had been annoying him non-stop for years, and a couple of journalists, too young to understand what was really going on in this country. He was mildly bothered by the strident tones of some members of the Free Democratic Party, who were counting on a miracle in the next election and were seizing every opportunity, any whatsoever, to prove they were there and to remind people of their existence, but luckily it hadn't come to a more serious debate. Western public opinion had its reasons for that. Settling accounts with the legacy of the Stasi simply didn't come into their sphere of interests.

He smiled at the memory of this success. Thanks to this perfectly (all due credit to Frank Derbach) conducted operation, Christian Schlangenberger – former counter-intelligence officer 'benefactor', as Frank was in the habit of calling him (and there was no cynicism intended) – had gained a bright and shiny past, and incidentally the gratitude of many influential people, about whom there was a great deal to be discovered from those files, just as there was about him too.

For his many years of dedication and courage (putting the files aside had been exhausting and laborious – not to mention the risk involved – and had taken five years), Frank had earned himself not just his benefactor’s infinite trust, but also quite a sum of money. Meanwhile, Schlangenberger was celebrating the greatest triumph of his life, and had made a fortune out of it, for he had passed the files on to rich and influential people. Or, as the interested parties preferred to put it, he had returned their rightful records to them. The people he gifted in this way included prosecutors, civil servants, some politicians from the opposition and from the ruling party, judges and businessmen. More importantly, a hermetic and extremely influential milieu – suddenly, by necessity, they had all become equal and the divisions between them had vanished – had found out that Schlangenberger was still alive and was capable of a great deal, a fact that was priceless. It spread fear, though none of the interested parties would have called it that, and they certainly wouldn’t have said it out loud. This sort of ignorance, constant uncertainty and threat go hand-in-hand with fear and gratitude – Schlangenberger couldn’t have dreamed up a better guardian angel for himself. None of the people he gifted knew what other information their benefactor still had in his possession, or WHERE HE GOT IT FROM, or what he was planning to do next – whether he had really got rid of all the files, or whether in handing them over to the interested parties, he was, as he promised (usually in a highly confidential conversation with each of them separately), putting an end to the matter, because he really had destroyed the lot! The principle being that surely nobody needs that sort of problem, Mr Prosecutor, Mr Judge, Mr Member of Parliament, Mr Minister, Mr Chairman?

What can you do? You have to trust yourself, they reckoned, and besides, Schlangenberger was always so pleasant and well-mannered. He's a reasonable man, isn't he? He's a gentleman, with a good head on his shoulders, they whispered to each other in confidential circles, adding by the way that he was also a serious candidate for the highest positions in the country. Whereas Schlangenberger the 'benefactor' stressed during these private conversations that in this delicate matter (none of the interested parties ever uttered the word 'files'), the main concern was the general good and there should be mutual support, therefore they supported each other on the quiet. While in particular supporting Christian Schlangenberger.

So he could tell it was all going like clockwork, and that was why the copies of the files, or sometimes the originals that he was storing in bank vaults, were for the time being 'safe' in his keeping, and he had no intention of putting this arsenal to use. At least not today, and not right now – after all, he was the country's number one futurologist. As his prophet and chief protector, the great Kröger said: "My dear comrades, let us leave the dessert for the future."

However, the road to his goal was arduous, paved with sacrifices, and demanded patience. Patience – not necessarily Schlangenberger's strongest character trait. He didn't like thinking back to the twilight era. After the fall of the wall he had had to disappear from the stage for a long while, retire into the shadows and mainly devote himself to business.

But, in fact, that hateful time had worked to his advantage. Nobody, not even he, had expected the changes to come about so quickly, or to be quite so radical. Yet again he was persuaded that human memory is selective. In astonishment,

he watched his former colleagues' successes; sometimes he could hardly believe his eyes when he saw how many votes they were gaining for themselves in the united Germany, by turning their GDR past to profit. The public institutions and local parliaments of eastern Germany were swarming with former agents. In his beloved Brandenburg, of the 26 Landtag members representing left-wing parties, one in four had once worked for the Stasi.

*

Schlangenberger's first political speech went down in history.

He chose the best of all possible strategies, because he always came out to suit the era and its events. His opening tactic, very carefully thought out, was ridiculously simple, and as he rightly predicted, extremely effective. As a matter of fact, Christian Schlangenberger outdid himself.

“Brilliant!” enthused his brother-in-law, Ernesto.

“Out of this world, boss, out of this world!” crowed Irma and Frank, his first election team.

Thumping his fist on the lectern, together with the sweet, paternal voice of a handsome, fit-looking man of over 60, were meant to remind the forgotten women of the GDR who they were in the new FRG, who they used to be, and who they could be in the future. And he, YES – HE, would help them to get there! It was a historic moment for his new party, or rather the party which he had joined again. A party consisting of 40% women – and it was on them that he intended to build his electorate. And he had done just that.

“It was communism, a system so tarnished nowadays, my dear sisters and brothers, that gave rise to the development of feminism, allowed women to work in heavy industry and to

be tractor drivers. It was communism that sent Tereshkova into space, and sanctioned the mass exodus of women from the home into the workplace. It was communism that did it!” thundered Schlangenberger from the lectern, leaving a deep impression in the minds of not just the female members of his left-wing audience, but all of them.

“And it was communism that built hundreds of nurseries and pre-schools, and broadcast sex equality slogans, but were they just slogans, my dear sisters, were they?” At this point he broke off and smiled as he bowed to the ladies whom he could see from the stage, and to all the ladies he couldn’t see as well, while some handsome young men ran about the auditorium, handing them roses. Not carnations, but roses, to avoid stirring unnecessary resentment, and to give them the feeling that things were moving towards something NEW. Something better.

Loud cheers shook the congress hall in East Berlin, just like in the good old days – young girls from both east and west were applauding, even the waitresses and cloakroom attendants were applauding, and the ladies in the front rows were getting up out of their seats.

“Who are we, my dear sisters and brothers? Who?” continued Schlangenberger, the new messiah of the new Women’s League. “Where do we come from? From the former GDR! That is the truth. Let’s not be ashamed of it! This is where we grew up, right here!”

He spoke for another ten minutes, stirring such strong emotions that the beefy lads from Securitas City had to rescue him, by practically carrying him out of the hall.

Schlangenberger had gained the title of Germany’s greatest ever feminist and reformer – he had gained plenty of titles

over the years, a very large number, so for the time being he could be a feminist.

It was a good start – a start as good as that is something almost sacred, and starts as good as that are not to be squandered. Schlangenberger the feminist had played his first major role in democracy with passion and conviction, though he had neither the former nor the latter towards women, or at least not as intensely as the league would have wished.

He had put on a big show to demonstrate his fanatical feminism. Someone who is great and genuine in everything he does, someone who is exceptionally devoted to the cause is certainly capable of convincing and winning over a whole nation. But without those characteristics, only a genius can possibly pull off such a convincing lie. And here he was, the biggest fraud in the global history of women, Christian Schlangenberger, mega-super-fraud. A liar with a psychology degree from a college in Moscow.

In time, as he gained more and more ground, by continuing to talk about women with deference and recognition, even though he did it decidedly more rarely, just once in a blue moon, he kept on climbing higher, but still not as high as he would have liked. He wanted more, he wanted to go higher, and further.

He had a superb sense of moods and trends – not much had changed in all those years. Maybe women had driven tractors for a while, repaired cars and toiled in factories, but in those days, just like now, within the party everyone knew his own stuff and one thing was crystal clear: though everyone was politically correct, in the higher spheres it was thought that real politics was for men, and for men only. Women made a good buttress, a good background, and you could even win

a few extra points on them, but let's not be under any illusions, gentlemen, apart from a few exceptions, like Chancellor Merkel, a woman is just a woman. Politics is no business for women, but you can only say that over a beer, a glass of vodka or a game of poker at Herz's – never within government offices. There you were obliged to shake hands with the female politicians. Politicianesses? Lady politicians?

“To hell with them!” said Schlangenberger, laughing, raising his mug of beer and winking at his mates.

“To hell with them!” his fellow card-players agreed.



EUROPEAN UNION
PRIZE FOR LITERATURE

2015

Magdalena Parys – Poland

Magik

Magician

624 pp, 2014

Translations: The book has not been translated yet.
(*Last Update – March 2015*)

Publishing House **Świat Książki**
ul. Hankiewicza 2 – 02-103 Warszawa – Poland
Tel. +48 22 46 00 610

www.wydawnictwoswiatksiazki.pl

Contact: Martyna Turska – martyna.turska@swiatksiazki.pl

ISBN: 978-8-37-943837-2

EUPL / FEP-FEE – Rue Montoyer, 31 – B-1000 Brussels – T. +32 (0)2 770.11.10
info@euprizeliterature.eu – www.euprizeliterature.eu



Creative
Europe



European and
International
Booksellers
Federation

